

Ignacy S. Fiut

* * *

kiedy za oknami słońce
debatuje z nachalnymi
chmurami
słowom powoli
odrastają skrzydła
i podrywają się
do lotu
zapewne na wiosnę
uwiją gniazda
i wykarmią pisklęta
nowych wierszy

* * *

dom –
to bliskość
i podręczność
narzędzi istnienia:
butów, swetrów,
spodni, czapek
i płaszczy
– tylko parasolka
jak niewierna żona
czatuje na balkonie
i czeka na ukochane
krople deszczu
by zdobyć własną
podręczność

budowniczy domów

w nocnym śnie
mówi kilkoma
językami
tylko on je rozumie
i buduje z nich
osobiste archiwa
wypełnia je nowymi
znaczeniami słów

po przebudzeniu
buduje z nich
dom wiersza
i zaprasza do mieszkania
w nim.

narodziny wiersza

na papierosa na parapecie okna
na strzępy zapisanych kartek
księżyc zerka przez chmury
słysząc klekotanie klawiatury
jakby pegaz stawał dęba

wiersz się rodzi
emocje buzują
płatki śniegu
prosto z Kosmosu
migoczą na ekranie
komputera

rodzi się dzieciątko
wiersza

Dusza bezdomnego poety

Bohdanowi Wrocławskiemu

najczęściej podobna z wyglądu
do duszy poety
na którego ciele
zapisuje dramat
ludzkiego istnienia
– nie prosi o jałmużnę
– nie czeka na lepsze
czasy
zrozumiała była to, co
niezrozumiała

niebo gwiaździste...

monitorowi prorocy wieszczą:
ocieplenie klimatu nas czeka
pod znośnymi podeszwami
butów sól dobiera się do stóp
wędrowca
a on szuka przyjaciółki
na te ciężkie czasy
która zje z nim wieczerzę
i śniadanie
kiedy noc zwinie żagiel
gwiaździstego
nieba nad
naszymi głowami

Barbara Gajewska

bezradność

przynosisz mi sen faraona
i drugie szczęście Hioba

chude lata jak chude krowy z bezmlecznymi
wymionami
nie dające się wydoić z resztek pożywnego
złudzenia

można obłąskawić
mówisz
tylko
trzeba być rozsądnym

ale ja wiem że lata tłuste nie nadejdą już nie
pora

na późny wysiew bo tylko piasek i skała
i suche rzeki
z dnami popękkanymi od podskórnych
wstrząsów

a jednak w chwilach przypływów
wypiętrza się we mnie kolejna góra Tabor

chcę ją posiąść nasycić się jak uczniowie

ale staczam się obolałą koniecznością
w czas zaprzeszy
w którym tak samo oślepiąją
pot Syzyfa i jęki Hioba

przynieś mi sen
na moją miarę
bym umiała gromadzić zapasy na lata chude

grzech Marsjasza

odważny byłeś Marsjaszu a może aż tak
naiwny
chciałeś dorównać bogom chciałeś
ostrymi dźwiękami aulosu
przygasić płomień którym Apollo rozpałał
struny swojej cytry

ty satyr
jak mogłeś nie wiedzieć że bogowie grają
najpiękniej
przecież zostali wykrzesani z piękna

nie mieszkają w cienistych lasach nie kładą
głów na ziemi
i nie ma dla nich za wysokich progów i za
długich drabin

ty satyr
na swoich koźlich nogach
mogłeś tylko fiknąć kozła
a ty grałeś i grałeś pięknie i to był twój grzech

odważny byłeś Marsjaszu czy aż tak naiwny
oddałeś siebie na żer zemsty boga za tę grę
unisono

za powiew zachwytu

czyżbyś wierzył w łagodność piękna na
boskich dłoniach Apolla

kiedy płał się w twoim krzyku i swojej
pogardzie
kiedy zdierał z ciebie kolejny płat skóry
pasterze nadal pilnowali owiec a bogowie
ucztowali na Olimpie
i tylko poeta wie że skamieniał słowik
i posiało drzewo

sąsiad

jeszcze siedem lat temu był panem Michałem
robił zakupy sadił kwiaty na balkonie
znosił z wyżyn czwartego piętra dobre słowa
na dobry dzień
jego spokojne kroki wygładzały nerwowy
tupot

tych co po kilka schodów na raz
byle szybciej byle lepiej byle jak

spotykałam go często na tym kawałku drogi
zawieszanej pomiędzy naszymi marzeniami
stawaliśmy na poboczu
stwarzaliśmy azyl z żywych słów
i było ciepło i cicho i było nas dwoje
zatrzymujących na klatce schodowej gwizd
białej lokomotywy